

Rzecz o uczuciach

Nie wiem, czy jeszcze bym żył, gdyby nie ta wystawa – mówi wybitny fotograf, 94-letni **TADEUSZ ROLKE**. Jego „Beatrycze 2” można oglądać w Galerii Obok ZPAF w Warszawie

ROZMAWIA DAWID KARPIUK

NEWSWEEK: Opowie mi pan o tej dziewczynie na zdjęciach?

TADEUSZ ROLKE: Na zdjęciach pozuje Dominika Wojtulewicz, młoda artystka. Ale historia tej wystawy, tego pomysłu jest znacznie dłuższa. To jest rzecz o uczuciach. Ani Dominiki, ani pana nie było jeszcze na świecie.

Jest rok...?

– 1980. W moim życiu zjawiała się kobieta. Uwiodła mnie i to, muszę przyznać, skutecznie. Miała wtedy męża, a ja przyjaciółkę. Musieliśmy trzymać wszystko w tajemnicy, co nie było łatwe, bo obracaliśmy się w jednym środowisku. Zdobyłem dla nas małe mieszkanko i zrobiliśmy tam miejsce naszych schadzek.

Jak to się skończyło?

– Któregoś dnia po prostu odeszła. Zrezygnowała ze mnie.

Bardzo pan przeżywał?

– Bardzo. To było dla mnie zupełnie niespodziewane, bardzo bolesne. Nie wiedziałem, jak się po tym pozbierać. Uznałem, że coś z tym uczuciem muszę zrobić, jakoś je przekierować. Postanowiłem zrobić cykl zdjęć w mieszkanku, w którym się spotykaliśmy. Sфотографować historię naszych spotkań.

Tadeusz Rolke podczas aranżacji swojej wystawy „Beatrycze 2” w Galerii Obok ZPAF. Pierwsza wystawa tego cyklu odbyła się w 1982 r. Warszawa, maj 2023 r.

FOT. ADAM TUCHLIŃSKI

Zdjęcie z cyklu „Beatrycze 2”

Wziąłem kartkę i napisałem scenariusz. „Wchodzi do łazienki”. „Otwiera drzwi”. „Czesze się”. Modelka jest na tych zdjęciach naga, ale ma opaskę na oczach. Jest po prostu anonimową kobietą. Poprosiłem znajomą dziewczynę, żeby zagrała tę kobietę. Niedługo potem zrobiłem z tych zdjęć – było ich 12 – wystawę w prywatnym mieszkaniu u państwa Dłużniewskich. Prowadzili prywatną galerię, jedną z nielicznych, o których nie wiedzieli ludzie Jaruzelskiego, w związku z czym w stanie wojennym nie została zamknięta.

Pomogło?

– Odreagowałem. Przestało mnie tak boleć. Sfotografowałem ładną kobietę w dziwnym pokoiku, w białych skarpetkach. Trochę absurd, fotografia absurdalna, nikomu niepotrzebna. Ale dla mnie to było ważne. Przestałem być już tym poszkodowanym mężczyzną porzuconym przez kobietę.

Bardzo boli złamane serce?

– Bardzo. Zdarzyło mi się nieraz. Oczywiście przy każdym rozstaniu są momenty, w których człowiek się upija. Wtedy sporo piłem, ale nie na tyle, żeby stracić kontrolę, ani nad tym, co robię, ani nad moją przyszłością. Nazwałem ten cykl „Beatrycze”. Mój przyjaciel, fotograf Marek Holzman, podsunął mi tytuł. Przyszedłem do niego i spytałem, czy ma jakiś pomysł. Wyciągnął z regału poezję Lechonia, przekartkował i wręczył mi otwarte na wierszu, który kończył się tak: „Nie ma nieba, ni ziemi, otchłani, ni piekła. Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma”.

Pan jest nostalgicznym człowiekiem?

– Tak. Ja się w ogóle interesuję przeszłością. Jestem trochę historykiem amatorem, przynajmniej jeśli chodzi o XX wiek. Pamiętam, kim byli Dmowski i Piłsudski, pamiętam, co zrobili.

A samego siebie pan pamięta?

Ośmioletniego, dziewięcioletniego Tadeusza?

– Przedwojennego. Pamiętam. Mieszkaliśmy przy Nowym Świecie, przy rogu z Ordynacką. Nowy Świat 60 mieszkania 5. Trzecie piętro, od frontu. Telefon 234-37. Bardzo ładne miejsce i bardzo ładne mieszkanie. Ale głośne. Nowym

Światem jeździły wtedy tramwaje. Nasz pokój sypialny był od frontu. Ja i mój brat zasypialiśmy przy odgłosach tych dzwonków, tych skrzypiących szyn. To ma pan ośmioletniego chłopca.

Czym on się pasjonował?

– Robiliśmy z bratem modele samolotów i okrętów z drewna balsowego, niesłychanie lekkiego i łatwego do obrabiania. Szczyrykiem można było piękne rzeczy z tego wyczarować. Modele produkowała niemiecka firma, mieli duży sklep na Świętokrzyskiej. W pudełkach były części i rysunek z instrukcją. Po iluś godzinach pracy na stole stawał na przykład krążownik Königsberg.

Czuł pan grozę zbliżającej się wojny?

– Grozę oczywiście, ale to było coś więcej. To była obsesja wojny, oczekiwanie. Rząd uprawiał politykę demonstrowania siły. „Silni, zwarci i gotowi”. Polska armia jest potężna, a wrogowie – szczególnie Niemcy – słabi. W szkole kar-

przelot niemieckich bombowców nad centrum Warszawy. Jeszcze nie zrzucały bomb, to była demonstracja siły. My oczywiście wiedzieliśmy, że to były heinkle 111 i junkersy 52. Robiliśmy je z drewna. I teraz one błyszczały na niebie, przy niesamowitym ostrzale polskiej obrony przeciwlotniczej. Niesłuchanie to było fotogeniczne. Te piękne kształty samolotów, fruną sobie otoczone setkami małych wybuchów.

Po zajęciu Warszawy przez Niemców zaczął się szal robienia zapasów. Chodziliśmy z bratem po całym mieście i kupowaliśmy wszystko – od zapalek po łyżeczki posrebrzane. Z zaprzyjaźnionego majątku przyjechał duży, dwukonny wóz z zapasami dla naszej rodziny na zimę. Ryż, mąka, groch, produkty do przeżycia. No, a później pojawił się niemiecki terror. Zjawili się folksdojczy, getto, szmalcownicy. Widziałem powstanie w getcie, pojechałem na Bonifraterską, gdzie stało niemieckie działo. Oglądaliśmy je z kolegą z odległości kilku metrów. Widzieliśmy, co takie działo robi z miastem, z budynkami, z ludźmi. A potem olbrzymie dymy, łuny nad palącym się gettem. Na własne oczy widziałem całą porcję straszliwości wojny.

W czasie okupacji pan był w harcerstwie?

– Tak, w Szarych Szeregach. Przenosiliśmy prasę, różne zakazane druki. To było ryzykowne. Znalazienie czegoś takiego przez gestapo oznaczało Auschwitz. Trzeba było być bystrym, żeby nie trafić na niemiecki patrol, który raptem zaczynał rewidować przechodniów. Trwało to aż do powstania, które wiadomo czym się skończyło. Ja od początku nie byłem jego entuzjastą, zdawałem sobie sprawę z proporcji sił, wiedziałem, co to jest armia niemiecka. Kupowałem niemieckie tygodniki, bo interesowałem się fotografią, a oni dawali bardzo ciekawe fotografie z działań wojennych, z Rosji, Grecji. Wiedziałem, że powstanie to będzie rzeź. Rozkaz o wybuchu powstania to było zbrodnicze posunięcie. A potem jako finis coronat opus nastąpiła moja deportacja. Jak w czasie powstania zajęto moją dzielnicę, to mnie przez



obóz w Pruszkowie wysłano do Niemiec na roboty. Aż do kwietnia następnego roku.

Praca była ciężka?

– Nie, ja do niej na ogół nie chodziłem, byłem bardzo sprawnym bumelantem. Ciężka była zima. I głód. A nie kopanie rowów. Kiedy wróciłem do Warszawy, zastałem ruiny, wszystko spalone. Tłumy ludzi szukających jakiegoś noclegu, jedzenia. Mrówki na ruinach. Tysiące i tysiące mrówek.

Po tym wszystkim komuniści wsadzili pana na dwa lata jako więźnia politycznego. Nie przeszło panu przez myśl, że życie jest absurdalnie niesprawiedliwe?

– Krążyła mi taka myśl, ale tego typu dywagacje nie pomagają w przetrwaniu. Trzeba było raczej myśleć o tym, jak sobie życie zorganizować w tej celi. Więzienia były przepełnione. W pierwszym – byłem w sumie w trzech – na 10 metrach siedziało 10 osób. Był duży rozrzut społeczny – robotnicy, chłopci, inteligenci, księża. Był żołnierz zabrany ze służby gdzieś na Mazurach. Po pijanemu wziął pepesę i zaczął strzelać. Dostał dwa lata. Pochodził spod Białowieży, opowia-

dał o swoim życiu. Niby rzeczy banalne, ale ciekawe. Jak ktoś jest ciekawy świata, to zawsze znajdzie się coś, co tę ciekawość zaspokoi. W pierwszym i trzecim więzieniu mieli książki, sporo się nazytałem poezji.

Zwolnili mnie po dwóch latach i wtedy zacząłem fotografować na poważnie. Na początku współpracowałem z tygodnikiem młodzieżowym, dobrze zresztą robionym, miał nakład chyba 300 tysięcy. Chcieli mnie zatrudnić, ale jak przeczytali mój życiorys, że byłem więźniem politycznym, to się z tego wycofali. Potem starałem się w innych redakcjach. Bardzo mi zależało na „Stolicy”, oni mieli dużo dobrej fotografii. Naczelny mi powiedział, to już było po odwilży, że jemu to, że byłem polityczny, nie przeszkadza.

Przez lata był pan naczelnym fotografem artystów. To był chyba wesoły świat?

– Wesoły. Ja się interesowałem sztuką współczesną, szybko poznałem środowisko. Galerię Krzywego Koła, z której potem urodziła się Galeria Foksal. Jeździłem po całej Polsce i fotografowałem artystów i ich prace. Wielu wybitnych

ludzi, bardzo interesujących. Poznawałem środowiska we Wrocławiu, w Krakowie. Każde miasto miało swój kolorowy świat. Dziś to wszystko jest na wymarciu. Ostatni z tych, których pamiętam, schodzą ze sceny. Zostawiają palety pełne farb.

Jak to jest? Przyglądać się, jak odchodzą ludzie, którzy byli częścią pańskiego życia?

– Ktoś wymyślił taki system, trzeba się pogodzić z losem.

Pan jest pogodzony?

– Nie ma innego wyjścia. To jest konieczne. Odejście. Tylko sprawa, jak i kiedy. Dobrze, żeby był to proces bezbolesny. Na razie jestem chory i to mi bardzo przeszkadza. Ale nie byłoby źle, gdyby to wszystko troszkę jeszcze potrwało.

Wcale się pan nie złości na to przemijanie?

– Nie wyobrażam sobie, żeby protestować przeciwko przemijaniu. Trzeba je zaakceptować, wykorzystać kreatywnie. Gdybym ja świętował swój wiek i głaśniał prawniki po głowach, to nie byłoby tej wystawy. Nie wiadomo, czy w ogóle bym jeszcze żył. Tymczasem, jak wpadłem na pomysł tej wystawy, to już miałem powód, żeby nie spać cały dzień. Już z kimś byłem umówiony, już pracowałem z ludźmi, bo ja nie pracuję sam. Nie jestem w sytuacji tego dziadka, który zajmuje się wyłącznie rodziną. Mam pięcioro prawnucząt, bardzo je lubię, ale to nie jest mój świat. Mój świat to jest fotografia. Na pierwszą „Beatrycze” w 1982 r. przyszło 30 osób. Potem to leżało 40 lat. Nieraz myślałem, żeby zrobić remake. Ale ja jestem trochę leniwy, nie jestem dobrze zorganizowany. W końcu pomyślałem, że muszę się odnieść do tego cyklu. Te zdjęcia mi wtedy pomogły żyć. I teraz w jakiś sposób też. ■

dawid.karpiuk@newsweek.pl

TADEUSZ ROLKE (UR. 1929) JEST ARTYSTĄ FOTOGRAFIKIEM, WSPÓŁPRACOWAŁ M.IN. Z „PRZEKROJEM”, „DIE ZEIT”, „DER SPIEGEL”. DOKUMENTOWAŁ ŻYCIE ARTYSTYCZNE PRL, FOTOGRAFOWAŁ MODĘ, PORTRETOWAŁ LEGENDY POLSKIEJ KULTURY, M.IN. TADEUSZA KANTORA, ARTURA RUBINSTEINA, ALINĘ SZAPOCZNIKOW

FOT. TADEUSZ ROLKE/DZIEKI UPRIEMOŚCI GALERII OBOK ZPAF